

ZBIERACZ

LITERACKI I POLITYCZNY.

MISSYJONARZ. POWIĘŚĆ.

I.

W końcu ulicy *St. André des Arts* w Paryżu stał roku 1724 dom na cztery piętra, bardzo skromnej powierzechności. Przekupka sprzedająca jarzyny zajmowała dół, a jej kosztak dałece wnijsie do domu zapięrały, że czynszownicy zaledwo przecisnąć się mogli. — Niedogodność ta nie była jednak dla mieszkańców zbyt wielką, ci bowiem po większej części wychodząc rano, dopiero wieczorem powracali. Byłito najwięcej uczniowie, słuchający medycyny lub prawa, a którzy siedząc po całych dniach w kawiarni, z przyjaciółmi gwarzyli; wreszcie mieszkał tam komisant z księgarni, urzędnik z ministeryum skarbu, i malarz. Przeto większa część okien, wychodzących na ulicę, była prawie zawsze zamkniętą,

wyjawszy jedno na czwartém piętrze, należące do pomieszkania malarza. Co rano, o godzinie 8miej, skoro artysta odszedł, widziano otwierającym się to okno i pokazywała się w niem młoda nie wiasta w stroju porannym, trudniąca się różnymi robotami gospodarskimi: to trzepała dywan z podłogi, to podlęwała krzaczki róż w wazonkach, które u okna zieloną firankę zastępowaly. Potém zamykało się okno, by się znowu w pół godziny później otwarło, i znowu widać było młodą niewiastę, siedzącą w czystym, skromnym czépku i w skromnej sukience. — Aż do godziny piątej trudniła się ona robotami, i ani pomyślała o tém, by zaglądać na dół na zgraję osób, snujących się po ulicy; czasami tylko podniosła głowę i powąchała różę. Niekiedy zapominała na chwilę o swojej igle i zapewne jakaś przyjemna myśl zatrudniać

ją wtedy musiała, bo na czérstwém jój licu radosne malowało się wzruszenie, a oczy zaléwały się łzami. Lecz skoro na stojącym na kominie zégarze z alabastrowými słupkami godzina piąta wybiła, młoda niewiasta rzuciła robotę, odstawiła wazonki z okna, by lepiej przezeń się patrzeć i z wielką uwagą poglądała na ulicę, ażeby z daleka już pomiędzy tłumem ludzi tego rozpoznać, którego z taką niecierpliwością oczekiwała. Nagle powionęła chustką, a na znak ten odpowiedział podobnym znakiem młody, rzadkiei piękności mężczyzna, spieszący szybkim krokiem ku domowi. Nie minęło chwil kilka, a już młody człowiek bięł prędko po wschodach na czwarte piętro, gdzie go oczekiwała owa ładna młoda niewiasta, która z zapalem pocałowałszy go, uścięgnęła po kilkakrotnie. Potém wszedłszy oboje do pokoju, usiedli przy skromnej wieszerzy. Gdy była pogoda na dworze, młode małżeństwo szło na przechadzkę, najczęściej do Luxemburga. Padał-li dęszcz, to małżonek czytał głośno książkę, a małżonka haftowała lub szyła. —

Tym sposobem młodzi małżonkowie prowadzili życie pełne pracy, miłości i szczęścia, które wielą troskami i wielą cierpieniami okupili. Długo bowiem ojciec młodego Franciszka Boucher nie chciał zezwolić, by syn jego żenił się z dziewczyną bez majątku, i potrzeba było długiej wytrwałości, długich prośb i łez niezliczonych, za nim otrzymano jego pozwolenie, od którego los małżonków był zawisł. Nareszcie ojciec dał się zmiekczyć tylu prośbami i od tego czasu młodym małżonkom szło według życzeń, jak gdyby los chciał ich za tyle doznaných cierpień wynagrodzić. Młody malarz bywał często zajęty i już wslawiać się zaczynał. Sam król Ludwik XV. kazał kupić obraz u niego, lecz dzień, w którym małżonkowie tę radosną otrzymali wiadomość, większym jeszcze odznaczył się szczęściem. Ludwika została matką; słyszała pierwsze kwilenie dziecięcia, i trzymała na ręku lubą, małą istotę, swoje ukochane dziecko, które miało teraz trzynaście miesięcy, a które mamka nazajutrz przynieść miała. Jakiegoż jeszcze nie dostawało jój szczęścia

mając syna i małżonka? Jakież jeszcze mogła mieć życzenie, będąc żoną i z matek najszcześliwszą? — Szybko zerwała się dnia tego, skoro godzina 5ta wybiła i pobiegła do okna, wyglądając przyjścia małżonka. Za kilka minut spostrzegła go z daleka, ale gdy go poznała, wnet jakieś niepewne, jakieś bolesne przeczucie wyгнаło radość z jej serca. Boucher nie szedł tą rzazą z ową radosną skwapliwością, z jaką zwykł był zawsze do żony swojej powracać; kroczył powoli i laską się podpięrał. Doszedłszy nareszcie do drzwi swojego pomieszczenia, byłby upadł zemdłony, gdyby go była Ludwika nie wstrzymała, która drżała na całym ciele na widok bladej, okrywającej pomieszczenia twarz tego, którego nad życie kochała. — «Cóżcito Franciszku?» — «Nié wiem, Ludwiko; dreszcz zimny przechodzi po wszystkich moich członkach i piersi mi ścisza. Nié mogę oddęchać. Otwórz okno, by mnie cokolwiek świeże powietrze owionęło. Głowa mi pała..... chciałem pracować, ale pęzel wypadł mi z ręki. Nié mógłem paletu utrzymać; émiło mi się

woczach, a kolana drżały podemną... Dokąd idziesz?» — «Chcę pójść po lekarza, kochany Franciszku. Nasz nie daleko ztąd mieszka, niebawem powrócę.» I pobiegła po wschodach; lecz wróciwszy z lekarzem zastała Franciszka leżącego bez przytomności na podłodze, i za pomocą lekarza, płacząc, zaniósła go do łóżka. — Gdy po długim czasie i wielu ze strony lekarza usiłowaniach, Franciszek Boucher do siebie przyszedł, wybadywał go lekarz o wszystkie jego cierpienia i sam przeląkł się tak wielkiem niebezpieczeństwem. — «Czy jest jakie niebezpieczeństwo?» zapytała płacząca Ludwika, na twarzy lekarza czytająca aż nadto wyraźnie wrażenie, jakie na nim stan jej męża sprawiał. — «Niebezpieczeństwo? nie, nié ma żadnego; przynajmniej tak się spodziewam, ale należy pani uzbroić się w odwagę i wytrwałość. Dobra noc. Jutro jak najraniej przyjdę znowu. Tymczasem niech pani według przepisanej recepty postępuje.» — Odszedł, a Ludwika sama jedna została z mężem, który w febrze gorączkowej od rzeczy mówić

zaczął. W istocie, bardzo wiele ten cierpi, kto chorując doznaje gorączkowych wzruszeń umysłu, komu ciało i duszę tysiączne dręczą mamidła, ale dziesięćkroć okropniejsze czuje ten katusze, kto siedząc przez noc całą u łoża ukochanej osoby, zmuszony jest słyszeć jej krzyk i jęki, jakie cierpienia wyciskają. Straszliwą jest ciemność, która nas wtedy otacza. Czego by się nie dało za to, by wtedy choć głos ludzki, by choć szmer żyjącej usłyszeć istoty! Ale wiatr tylko świszcząc, jęczy jak cierpiąca dusza; nie słychać, krom przerywanych słów chorego, który martwym rzucając wzrokiem, nikogo nie poznaje i który na zadawane mu w trwodze zapytania, innej odpowiedzi nie ma, jak tylko serce rozdzierające jęki boleści. Noc taka jest okropną, a jej długość zdaje się być bez końca. Można sobie przeto wyobrazić, co biedna młoda niewiasta przy swoim małżonku ucięrała! Mogłaż wiedzieć, czyli ów ledwo słyszałny oddych, który się z piersi jego wydobywał, nie był ostatniem tchnieniem jego życia, nie był zwiastunem śmier-

ci! Cóżby się z nią stało, gdyby ją cios taki spotkał!... «Frańciszku, Frańciszku! (wołała) słuchaj mnie! Na Boga! zaklinam cię, nie patrz tak na mnie! Odpowiedź! Ja to jestem, Ludwika, żona twoja! Frańciszku! Nie poznaje mnie. Boże spraw, ażeby mnie poznał, bo jestto rzecz okropna dla biednej żony widzieć męża w takim stanie, że ani głosu mojego nie słyszy, ani na moje słowa, choćby tylko uściśnieniem ręki, nie odpowiada.» — Nareszcie pierwsze promienie poranku błysnęły przez okno do pokoju, a po milczeniu śmierci i nocy nastąpił hałas i ruch dnia. Lékarz dotrzymując przyrzeczenia, już oszóstej przybył do chorego; atoli lubo był tak bardzo przyzwyczajony patrzeć obojętnie na cierpienia, przeląkł się wszelako bladeścią Ludwiki i zgubnemi skutkami, jakie na nią przeszła okropna noc wywarła. — Zbadawszy stan chorego, rzekł lékarz: «Niech pani się uspokoi. Noc była okropną, wiem o tém, ale spodziewam się, że więcej podobnej nie doznasz. Mąż pani ma się już lepiej, a powrotowi gorączki lékarstwami się

zapobiegnie. Z resztą niech pani nie wysila zbytecznie troskliwości swojej i nie wszystkie zaraz w dniach pierwszych wyczerpuje środki. Chorobą męża długo się zapewne pociągnie. Chciej więc oszczędzać siebie, byś i dalej pielęgnować go mogła. Stary lekarz, ścisnąwszy przy tych wyrazach z czułością rękę młodej małżonki, oddalił się z domu. — Chory usnął spokojnie. Ludwika już teraz zapłakać mogła, a to sprawiło ulgę jej cierpieniom. Naraz pewna myśl przyjemna rozpogodziła twarz jej i uśmiechnęła się do niej jak promień słońca, który się przedziéra przez ciemne chmury śród burzy. Myślą tą był powrót jej dziecięcia. Mamka miała je dnia tegoż przynieść ze wsi. Biędne dziecię pod smutną wróżbą przybywasz do ojcowskiego domu; ale matka twoja będzie cię miała przy sobie, całować cię będzie, a przez to samo znajdzie pociechę w swych troskach. Frańciszkowi widok dziecięcia może ulgę sprawi. Ojciec, choćby miał nawet obłąkanie umysłu, nie może być na głos dziecka swojego obojętnym. Jeżeli znowu od rzeczy

mówić zacznie, młoda małżonka weźmie Karolka i położy go w ramiona ojca, a pewnie na ten widok rozechmuży się zasępiiony rozum jego. — Te były jej myśli aż do chwili, gdy przez okno, od którego co minuta odbiegała patrzeć, co się ze śpiącym chorym dzieje, ujrzała idącą mamkę z dzieckiem. Na ten widok zapomniała o wszystkich nieszczęściach, o cierpieniach i troskach, a radość, którą tylko matki czuć mogą, napełniła jej serce. Śmiejąc się i płacząc zarazem, zaniósła Karolka na łóżko ojca, który spokojnie obudziwszy się, ku synowi mlą rękę swoje wyciągnął. — Ludwika, padłszy na kolana, wzniosła ku niebu wzrok podziękii i macierzyńskiej radości.

II.

Ah, owa noc nieszczęśliwa byłato pierwsza kropla gorącego ołowiu, który niegdyś oprawcy powoli na głowę skazanego na śmierć sączyli. Nędza z dniem każdym, z każdą chwilą przyniosła dla politowania godnej Ludwiki nowe troski i nowe cierpienia. — Tak gdy choroba Frańciszka Boucher już trzy tygodnie trwała, Ludwika

starala się razu jednego nadaremnie w małej kuchence swojej uulić płacz dziecka, które na zęby chorowało. — «Cicho,» wołała na dziecko, «krzyk twój ǳbudzi ojca, twójego dobrego ojca, którego długa noc bezsensu tak chorym, tak osłabionym uczyniła. Uspokój się moje lubie dzieciatko!» — Huśtała je na rękach, ogrzewała własnym oddechem, przyciskała do piersi, zamykała usteczka całusami, lecz biédne dziecko wijąc się z bólu w rękach matki, wydawało krzyk, że aż się serce krajało i niezém uspokoić się nie dało, nawet jaǳem, które mu Ludwika podawała. Odwróciło twarz, oboma rączkami odpychało łyżkę z pokarmem, a duże łzy, jak perły, spływały po jego rozognionych policzkach. Rozpaczająca Ludwika zwaǳiła na chwilę, iż tyle ciosów wytrzyma, i łzy gorzkie wyléwać zaczęła. — «O Boże!» wołała, «czyliż nade mną nie masz miłosierdzia? Cóż się ze mną stanie, [gdy ty mnie opuścisz?» A po modlitwie dodała: «Dziękci ci Boże! wysłuchałeś modłów moich, bo dziecko usnęło.» — Karolek spuścił w istocie główkę

swoję na piersi matki i cichém snem spoczywał. Ludwika nie śniła najmniejszego zrobić poruszenia. Wstrzymywała oddech i byłaby chętnie wstrzymała bicie swego serca, gdyby to w jej mocy było.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

SZLACHETNE PODEJŚCIE.

Pan D.... przed kilką miesiącami zmarły w Paryżu wekslowy agent, założył się o znaczną sumnę z panem B.... bogatym kapitalistą tutéjszym na słowo honoru. Ostatni udał się nie dawno do wdowy piérwszego uwiadomijając ją: iż jej mąż założył się z nim o 16,000 franków; ponieważ zakład przegrał, chciał się dowiedzieć czyliby mu takowe zwróciła, gdyż umowa między niemi tylko słowną była. Pani D.... nienamysławiac się weale udała się do biórka a gdy zaczęła piéniądze liczyć, wstrzymał ją pan B.... temi słowy: Ponieważ Pani mnie masz że ten zakład był ważnym, proszę przyjąć 16,000 franków, gdyż to ja przegrałem.